Nr. 3. Lwów w marcu 1897. Rok XX.




Prenumerata roczna: 5 zł., 10 mr., 5 rs., 12 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi z początkiem każdego miesiąca.

# LISTA DELEGATÓW POWIATOWYCH.

52. *W powiecie stryjskim:* Hr. Karol Dzieduszycki, właśc dóbr i poseł sejmowy, w Siechowie p. Sokołów; Józef Goiński, rządca dóbr, w Smorzu; Tadeusz Barański, właśc. dóbr, w Siemiginowie p. Stryj; Br. Julian Brunicki, właśc. dóbr, w Strzałkowie p. Stryj; Adam Onyszkiewicz, właśc. dóbr, w Wolicy p. Lisiatycze.

53. *W powiecie tarnopolskim:* Weiss, c. k. pułkownik w Tarnopolu; Hr. Jerzy Baworowski, właśc. dóbr. w Ostrowie p. Tarnopol; Władysł. Jankowski, właśc. dóbr, w Rosochewaćcu.

54. *W powiecie trembowelskim:* Emil Gotwald, leśniczy w Strusowie; Jan Kopajło, nadleśniczy, w Młyniskach p. Janów koło Trembowli; Ludwik Cieński, dzierz. dóbr, w Iwanówce p. Trembowla; Bolesław Siedlecki, dzierz. dóbr, w Brykuli nowej p. Chmielówka; Adam Mysłakowski, właśc. dóbr, w Mogilnicy.

55. *W powiecie wadowickim:* Teodor Drapella, nadleśniczy, w Rzykach p. Andrychów; Józef Miśko, nadleśniczy, w Izdebniku; Seling Saulenfels, dyrektor dóbr, w Izdebniku; Mieczysław Jakubowicz, właśc. dóbr, w Sosnowicach p. Nowe Dwory.

56. *W powiecie zaleszczyckim:* Tadeusz Cieński, właśc. dóbr, w Drohiczówce p. Latacz.

57. *W powiecie złoczowskim:* Hr. Aleksander Wodzicki właśc dóbr, w Olejowie; Bronisław Ujejski, właśc. dóbr, w Sewerynce p. Olesko; Tadeusz Dzięciołowski, dzierz. dóbr, w Gołogórach.

58. *W powiecie żółkiewskim:* Tadeusz Starzyński, właśc. dóbr, w Derewni p. Turynka; Władysł. Radzikowski, nadleśniczy, w Butynach p. Mosty wiel; Tadeusz Romanowski, pełnom. dóbr, w Batiatyczach p. Kamionka; August Stojowski właśc. dóbr w Jaszczewiu p. Moderówka.

59. *W powiecie żywieckim:* Maurycy Kożesznik, radca eśn. w Żywcu; Stan. Rozwadowski, leśniczy, w Ślemieniu; Fryderyk Mucha, nadleśniczy, w Żywcu; Włodzim Adamek rządca dóbr, w Rajczy. (C. d. n.)



# SŁONKI.

*Le roi est mort! Vive le roi!* To samo może powiedzieć myśliwy, któremu z dniem 28 lutego nie wolno iść do knieji, lecz jeżeli tylko wiosna jest sprzyjająca, zaraz w marcu idzie do lasu na ciąg słonek. A to dopiero uciecha, to rozkosz dla człowieka, który kocha las, jego czary, jego uroki...

Mieszkańcy miast mogą śmiać się z nas ludzi innych form, innych dążeń, innych zamiłowań. Dziwić się mogą, że mamy ochotę, nieraz o kilka kilometrów, spieszyć na ciąg słonek i to nad wieczorem i *eo ipso* wracać po nocy do domu. Niech się dziwią, niech się śmieją. My dzieci nie wielkomiejskie, ale poniekąd dzieci natury, my zawsze na słonki pójdziemy. Nam nareszcie nie chodzi o to, aby tyle a tyle słonek zabić, aby z obładowaną torbą wracać do domu. Nie!.. My idąc na ciąg słonek mamy tę uciechę, że jest pretekst dobry pójść do lasu i tam o tej porze wieczornej przysłuchiwać się owemu cudownemu świergotow[1] ptasząt leśnych, który ci duszę wykrada i niesie ją gdzieś w dal ku gniazdom, ku Bogu, Wieczór ciepły, wiosenny ma swoje uroki, których nie można słowami określić. Staniesz na stanowisku i masz szczery zamiar skupić całą uwagę, by słyszeć głos słonki i ją dostrzedz. Lecz w tyle za tobą, z boków i przed tobą, ptaszyny leśne przestawszy już żerować rozpoczynają swoją pieśń wieczorną. Powstaje gwar, ale gwar tak miły dla ucha, że człowiek musi się nim zachwycać. Najwięcej tego miłego hałasu robią te maleńkie ptaszyny — jak sikorka, czyżyk, szczygieł i t. p. 1 one tylko tak cudnie świergocą i wyśpiewują, bo to jest pora, kiedy samczyk chce się przypodobać swej ukochanej. Później już — jak i u ludzi, troski o rodzinę zabijają w nim chęć do śpiewu i do gwarzenia z ukochaną. Śpiewy tych maleństw są tak urocze, tyle w nich poezji, że mimo woli zasłuchasz się w nie, zapomnisz o słonkach, o świecie, nawet o troskach cię gniotących i zdaje ci się, że jesteś szczęśliwym... A potem powoli, jedna po drugiej, zaczną gwiazdki iskrzyć się na niebie, z początku blado, a później coraz silniej, Czasem która z niebios spadnie. Wtenczas choćbyś był zimnym jak głaz, czar lasu cię ogarnie. Wtenczas żal ci wracać do domu, bo pod tem Bożem sklepieniem iskrzącem się miljonami gwiazd, wśród tej cudownej muzyki jest ci przestrono, oddychasz pełną piersią i zdaje ci się, że jesteś bliżej Boga.

Lecz nie opisywanie uroków wiosennego wieczoru obrałem sobie za temat do mej pogadanki. Chcę z kolegami myśliwymi pomówić o słonce i o polowaniu na nią. Dwudziestokilkoletnie moje doświadczenie w tym kierunku daje mi prawo zabierania głosu i dzielenia się uwagami, jakich się z biegiem lat uzbierało.

Słonka... to najlepszy nasz ptak t. z. przelotny. Pominąwszy też bardzo ważną zaletę, że mięso jej jest nadzwyczaj smaczne, podnieść należy, co ważniejsze, że spotykamy się z nią dwa razy do roku. Raz na t. z. ciągu wiosennym, który nas kusi iść nad wieczorem do lasu, drugi raz na jesieni, na t. z. buszowaniu, strzelając je pod psem.

Tu mimowoli nasuwa mi się uwaga, że w ogóle na słonki bez dobrego psa nie warto wychodzić, a co więcej, że ten pies powinien i musi być ze słonką oswojony, gdyż ona ma zupełnie inny wiatr, aniżeli kuropatwa, cietrzew, lub przepiórka. Pies, który nigdy słonki nie aportował, przejdzie spokojnie obok leżącej i nie uważa za godne jej

podnieść. A cóż dopiero mówić o słonce postrzelonej, zwłaszcza „zbarczonej“. Ta spadając wpycha się w trawy zimowe i tam trudno ją dostrzedz. Ginie ich też bardzo wiele, stając się znakomitym przysmakiem dla lisów, tchórzy, sów i t. p. drapieżników. Jeden tylko pies może ją znaleść — naturalnie, jeżeli jest z nią obeznany. Co zaś do jesiennego polowania na słonki, to nawet niepodobna myśleć o tem, aby iść bez psa i to dobrze tresowanego na słonki.

Zrobiwszy to małe zboczenie na temat psi, wracam do słonek. Przedewszystkiem zaliczanie słonek do ptactwa przelotnego nie jest właściwem. Że ona jest bardzo ruchliwą i nigdzie zbyt długo się nie zatrzymuje, to jest rzeczą znaną. Lecz gdzie rzekomo ciągną i zkąd wracają, tego dokładnie określić nie można. Wiadomem jednakże, że słonki w okolicach naddunajskich, zwłaszcza w Austrji wyższej, wysiadują młode i dopiero w lipcu odlatują wraz z niemi gdzieś ku północy. Również wiadomem jest, że często i u nas spotyka się młode słonki w gniazdach, jak to już kilka razy stwierdzone zostało w Żorniskach, dobrach W-go J. Weigel-Millereta. Wobec tego możnaby postawić następującą hipotezę: Słonka — jako bardzo ruchliwy ptak włóczyć się ma nieustanną ochotę. Lecz zdarzają się jej także wypadki. Przyleciawszy do nas w jesieni, słonka upodoba sobie jakąś miejscowość i w niej dłużej chce zabawić. Tymczasem nagle śnieg spadnie, mrozy się pojawią silne i ona, bojąc puszczać się w drogę daleką, zostaje u nas i zimuje. Na wiosnę więc je mamy. Kiedy śniegi zginą, do tych miejscowych nadlatują z południa inne i może wszystkie mają zamiar pociągnięcia gdzieś daleko na północ (co za przyjemność?), lecz ten i ów samczyk potrafi zbałamucić te i ową samiczkę. Wtenczas ona biedaczka widząc, że co prędzej trzeba słać gniazdko, nie czuje w sobie sił do odlotu, ale raczej tu pozostaje i wylęga tu młode, na które buszujemy na jesieni.

Tak ja sobie tę rzecz tłómaczę. Lecz jestem tylko myśliwym, a nie ornitologiem. Być jednak może, że ktoś czytając ten artykuł, naturalnie ktoś taki, co bada i zna nasze ptactwo, zechce rzecz tę wyjaśnić i udowodni, że słonka jest u nas tylko w jesieni i na wiosnę lub też, że tu i ówdzie stale się zatrzymuje.

A teraz co do strzału na słonkę. Jest wielu myśliwych, którzy mówią, ba nawet piszą, że słonkę najlepiej jest strzelać wypuściwszy ją za siebie t. j. odwracając się równo z jej biegiem. Mnie to twierdzenie wydaje się bezpodstawnem. Bo przyzna mi to każdy, że strzelajac przed siebie nawet drobnym śrutem trafiam ją w główkę, szyję i piersi, więc w części szlachetne. Zbarczenie naturalnie nie jest wykluczone. Strzelając zaś za nią tym samym śrutem drobnym potrzeba bardzo silnego strzału, t. j. na krótki dystans, ażeby śruty przeszły przez nią i dostały się do serca lub płuc. To też mojem zdaniem strzał „na sztych“ jest najlepszy i najpewniejszy. Zwłaszcza samca, który wciąż się odzywa i zanim się ukaże już go słychać, nie trudno jest tak strzelić. Trochę trudniej samiczkę, bo ta ciągnie cicho. Znam takich strzelców, którzy właśnie z powodów wyżej przytoczonych ładują swą broń w ten sposób. Do prawki, kładą nabój z zupełnie drobnym śrutem, do lewki zaś o numer lub dwa grubszym. Strzelając „na sztych“ pociągają prawkę, natomiast „za siebie“ ciągną lewkę.

Nie wiem czy znanem jest większemu kołu myśliwych, że słonka nadzwyczaj dym lubi. Z doświadczenia wiem, że w lasach, gdzie tlą węgle, w niedalekiej odległości od mieleż najlepiej strzela się słonki. Ona lubując się w dymie, który ciągnie się po lesie, krąży tam wolno. Strzał więc jest łatwy i niemal pewny. Każdy więc gospodarz, który zarazem jest myśliwym, może się tak urządzić, aby węgiel, jaki potrzebuje dla kuźni, tlić na wiosnę w czasie ciągu słonek.

A teraz co do wyboru stanowiska.

Przyjętym jest zwyczajem na słonki stawać na jakimś pagórku. Jest to o tyle dobrem i racyonalnem, że stojąc na pagórku ma się nierównie większą przestrzeń do około siebie. Gdy staniemy w nizinie przestrzeń ta jest mniejszą. Lecz należy na to zwrócić uwagę, że słonka lubi niziny. Jeżeli gdzie rzek nie ma, ciagnie ona najchętniej w pobliże łąk. Te zaś na pagórkach się nie znajdują. Wobec tego najlepiej i najkorzystniej jest stać na stoku pagórka dotykającego do łąki. Jeżeli ta łąka ciągnie się długą smugą wśród lasów, to nie ulega wątpliwości, że tam są najlepsze stanowiska. Że słonka lubi wilgotne położenia przekonywuje nas jesienne polowanie. Buszowanie tylko tam może być korzystne, gdzie las dotyka mokrych łąk. W innych miejscach szkoda nawet trudu.

Nie bez pewnego uroku jest ciąg poranny słonek. Lecz ta przyjemność łączy się z tą nieprzyjemnością, że trochę zawcześnie trzeba wstawać i porzucać ciepłe posłanie, by je zamienić na chłodny i wilgotny poranek. Ale kto już potrafił przezwyciężyć się, niech spieszy do lasu. Na tem samem stanowisku, gdzie wczoraj wieczorem widział 5 słonek przeciągających, dziś zobaczy 10. To jednak trwa krótko, nawet króciej niż wieczór, a w każdym razie dużo wcześniej, niż słońce swą tarczę okaże. Znamiennem jest, że w czasie rannego ciągu słonka nierównie szybciej leci niż wieczorem, lecz zarazem sprawia więcej hałasu. Zdawać się może, że one kłócą się z sobą. Czasem zdarzy się dostrzedz, że około jednego samczyka krąży kilka samiczek wrogo na siebie spoglądających. Tam znów szybuje cicho samiczka, a koło niej rojno od wielbicieli.

W całem królestwie zwierzęcem z małymi wyjątkami łatwo jest odróżnić samca od samicy, różnią się one bowiem bądź to wielkością, bądź upierzeniem i t. p. U słonki tego jednak nie ma. Dopóki leci można jeszcze rozróżnić, bo, jak już wspominałem, samczyk w locie wabi, samiczka zaś cicho ciągnie. Lecz po zabiciu nie znajdziesz żadnej różnicy. Niektórzy myśliwi utrzymują wprawdzie, że samiec ma grubszy dziób i przeważnie dłuższe lotki, lecz to są chyba tak małe różnice, że trudno je poznać.

A więc do lasu na słonki! Kto tej przyjemności nie zakosztował ten naturalnie nie ma o niej pojęcia. A szkoda, bo w życiu nie tak łatwo o przyjemności.

*K. Kozierowski.*

# Z literatury łowieckiej.

(*Kroniki myśliwskie Towarzystwa lisowieckiego w ciągu lat 25 od jesieni 1871 do zimy 1895 r. włącznie*).

Mamy przed sobą gruby, bo 909 stron liczący tom, poświęcony wyłącznie kronikom myśliwskim Towarzystwa lisowieckiego, któremu przez pewien czas przewodniczył nieodżałowanej pamięci Kazimierz hr. Wodzicki. Wydawcy w przedmowie uprzedzili czytelnika, że opublikowane przez nich w stu egzemplarzach jako manuskrypt kroniki, nie mają i mieć nie mogą najmniejszej pretensyi do jakiejkolwiekbądź wartości literackiej. Sam sposób, w jaki spisywane były, przekonywa, że kroniki te krytyki, choćby najpobłażliwszej, wytrzymać nie zdołają. Sekretarz bowiem każdego dnia, z zapisków robionych w lesie, natychmiast po polowaniu, częstokroć przeziębnięty i przemoczony, układał sprawozdanie z dnia przebytego w pośpiechu i wśród gwaru otaczających go towarzyszów. W takich warunkach tworzone kroniki nie mogły być należycie wygładzone, a sekretarz, który je redagował, nie mógł myśleć o formie pięknej lub zwrotach udatnych.

Co jednak skłoniło słynnych w Galicyi myśliwych do zawiązania Towarzystwa myśliwskiego, a następnie do skrupulatnego spisywania kronik z odbytych łowów? Oto u stóp stryjskiego Beskidu znajdowała się wspaniała knieja, obejmująca 30.000 morgów, a będąca własnością rządową. W r. 1871 knieje lisowieckie przedstawiały przerażający obraz pustkowia i wyniszczenia. Dzików było nadzwyczaj mało, niedźwiedź nieustannem polowaniem wypłoszony, unikał starannie tej części Podgórza, sarny zaś przez niestrudzonych kłusowników na podjazdach wybite, były nadzwyczajną rzadkością. Wśród tych warunków hr. Kazimierz Wodzicki w r. 1871 wydzierżawił polowanie lisowieckie trzeba było tak głębokiego znawstwa łowiectwa, takiego ukochania przyrody i zgłębienia jej tajemnic, jakie on posiadał, aby ufając warunkom typograficznym i klimatycznym kniei, nie dać się odstraszyć niepowodzeniami lat pierwszych.

Hr. Kazimierz Wodzicki zorganizował też Tow. łowieckie, stworzył drużynę myśliwską karną, zwaną: „zakonem myśliwskim“, której hasłem było utrzymać zawsze wysoko sławę łowiectwa polskiego. Z kronik dwudziestoczteroletnich można się przekonać, że stan zwierzyny w kniejach lisowieckich stale z roku na rok się podnosił; jeżeli zaś nie w tej mierze, jakby tego pragnąć było można, to z przyczyny, że nadzorowanie zbyt wielkich obszarów przedstawiało poważne trudności, a w dodatku sąsiedztwo rysiów, wilków i lisów uniemożliwiało często najtroskliwsze nawet starania.

Myśl prowadzenia kronik myśliwskich, które obecnie opublikowane zostały, podał p. Wacław Hudetz i pierwszą księgę zaopatrzył wstępem, napisanym w języku niemieckim. W dalszym ciągu idą 24-letnie kroniki myśliwskie, z wymienieniem szczegółowem, kto w danym roku był prezesem, wiceprezesem, towarzyszem lub gościem towarzystwa lisowieckiego.

Zastanowić się przedewszystkiem wypada nad jednem pytaniem, a mianowicie nad tem, czy ów tłusty tom kronik myśliwskich stanowić ma jedynie miłą pamiątkę dla tych, którzy w polowaniach lisowieckich przelotny lub stały udział brali? czy też przedstawia on i dla literatury myśliwskiej jakąkolwiek wartość? Wydawcom niewątpliwie przewodniczył wzgląd pierwszy, co też w przedmowie zostało wypowiedzianem dobitnie w słowach: „przerzucając te kartki i czytając obrazki dawno minionej przeszłości, a wspominając chwile uciech myśliwskich, odczutych pełnem zapału sercem, w pełnej jeszcze może młodości, kto wie, może niejednemu i łza się w oku zakręci“.

Mniemamy jednakże, że wydawnictwo w pewnej mierze przynajmniej osiągnęło i cel drugi, do którego bezpośrednio nie dążyło, a mianowicie, że wzbogaciło niezbyt obfitą literaturę naszą łowiecką. Już ten sam wzgląd, że prezesem Towarzystwa był Kazimierz hr. Wodzicki pozwalał oczekiwać po kronikach myśliwskich dokładnych obserwacyj, pięknego opisu, a nadewszystko serdecznego, nemrodowego humoru.

Istotnie też kroniki myśliwskie wśród pozornie suchych sprawozdań o zabitej lub spudłowanej zwierzynie, zawierają dziwnie piękne opisy uroczych ostępów kniei podgórskiej. Obrazy pościgu rannego zwierza czy to na czarnej stopie, czy w tropach śnieżnego powału, drgają życiem i rzetelną, nemrodową uciechą. Biada temu myśliwemu, który był w niezgodzie z myśliwskim zakonem, biada i temu, który na czysto zwierza spudłował. Pióro kronikarza nie zostało złamane skutkiem jego uchybienia, ale za to zanotowano w kronice w ucieszny sposób całą ową myśliwską przygodę. Gdy np. w r. 1872 zdarzył się jednemu z myśliwych lisowieckich wypadek, że zabił kozę zamiast rogacza, kronikarz zakończył opis smutnej pomyłki w następujący sposób: „Jaka to szkoda, że dobroczynna zorza cywilizacyi nie zabłysła nad lisowieckiemi borami tak, ażeby każdy rogacz, wychodzący na stanowisko p. M., był ubrany we frak, a jego małżonka — w krynolinę. W takim razie nie byłoby się stało to, co się dziś stało, nie byłaby zgasła w kwiecie wieku nadobna i cnotliwa matka sarniego rodu, a jej nieutulony z żalu małżonek, dziś owdowiały, nie wyrywałby sobie rogów ze łba z rozpaczy“.

Gdy polowanie nie było prowadzone należycie, dawało to sposobność kronikarzowi do zauważenia, że np. podczas trwania tego miotu byłyby miały czas zmienić się trzy ministerya w Przedlitawii. Andrunio trąbił, Michał nie słyszał. Myśliwi poprzymarzali do stanowisk, wreszcie ruszyła pogonka, z czego skorzystali na skrzydłach stojący strzelcy i z miejsc ruszyli. Nikt im tego za złe brać nie może, gdyż tylko roślina, ale nigdy żyjąca istota, tak długo na jednem miejscu nieruchomo porastać potrafi

Prócz tego kroniki myśliwskie przyozdobiano dość często produkcyami poetycznemi. Muzę nemrodowej drużyny budziły rozmaite względy. Niekiedy chwila rocznej rozłąki skłania jednego z towarzyszów do wyrażenia poetycznego żalu:

O! rok znowu czekać trzeba,
Lecz go przebyć dadzą nieba,
Ni spostrzeżem, jak znów minie,
Niby zwarty sen w godzinie

Innym razem smutek po utracie towarzysza łowów lisowieckich, zapisuje w kronice ostatnie pożegnanie:

Żegnaj nam druhu; Twa wierna drużyna
Z tych starych borów szle ci pożegnanie,
Z grobu dłoń zimną, ściska i wspomina,
Jak długo w sercach naszych bicia stanie.

Spotykamy się także z serdecznem powitaniem lisowieckiej kniei.

Czasami kronika myśliwska rozpoczyna się od poetycznej pobudki. Za pobudką idzie cały szereg obrazów myśliwskich p. t. „Dzień Lisowczyka“, zakończonych rzewnem pożegnaniem się z knieją.

Czasami jakiś osobliwy wypadek na polowaniu, najczęściej wyraźne pudło, które nieboszczyk Sabała zwał wystrzeleniem Panu Bogu w okna, dawało kronikarzowi sposobność do zamieszczenia kilku lub jednej rymowanej zwrotki. Między innemi spotykamy np.:

W lasku nie Ida, dwa jarząbki
Spierały się bardzo coś,
Ja pójdę pieszo, a ty wzlecisz,
Którego z nas chybi Łoś.

Niekiedy jednak spotkać można wśród kronik wybuch szczerego humoru, wyrażony w udatnej rymowanej formie Przytoczymy tylko sposobem przykładu „Dziady myśliwskie“ parafrazę „Dziadów“ Mickiewicza. Wobec guślarza i chórów staje widmo myśliwego, biadając:

Po śmierci na tym padole
Okropne cierpię wciąż bóle:
Ach! jak reumatyzm mię nęka
Ach! co za ból, co za męka!
Gdyby snu ze dwie godziny.
Gdyby choć kropla morfiny!

Chór sympatyzując z cierpiącym, chce zadość uczynić jego pragnieniom i dać mu krople morfiny, ale występuje w stanowczej chwili kszyk z oskarżeniem zabójcy.

Zaledwie kszyk skończył swoje oskarżenie, gdy w poparciu krzywd występuje dubelt i przypomina:

Ja z żoną siedziałem w błocie
Bo, jak to u nas w zwyczaju,
U was zapadłem w przelocie
Z szwedzkiego dążąc aż kraju
I szkodym żadnej nie robił
I jużem się w drogę sposobił
I jadłem nędzne robactwo,
Zwyczajnie, jak błotne ptactwo,
W tem, gdy mnie ruszył legawy,
Burknąłem ciężko z otawy,
Tyś wziął na oko, wycelił,
I raz po razu wystrzelił,
Zabiłeś męża wraz z żoną,
Potem nas w kuchni pieczono i t. d.

Wobec takich grawaminów chór wyraża przekonanie, że dla widma nie ma leków, a guślarz proponuje mu w końcu na odczepne:

Gdy cię srogi ból wciąż drażni,
Próbuj jeszcze parnej łaźni,
A gdy nic ci nie pomoże
Idźże sobie precz nieboże i t. d.

Otóż kroniki myśliwskie zakonu lisowieckiego przeplatane bywały gęsto tymi objawami rymowanego lub nierymowanego humoru, z których kilka uważałem za stosowne przytoczyć w skróceniu. Humor też szczery, zarówno jak i wyborne znawstwo życia łowieckiego, sprawiają, że dla grona myśliwych kroniki Towarzystwa lisowieckiego stanowić będą miłą niespodziankę, a przytem źródło pouczających wskazówek. Kroniki powyższe ożywia niekłamany zapał nemrodowy, bije z nich dźwięczna pobudka na łowy i wskrzeszają one w pamięci wiecznie młodą i uroczą przyrodę lasów i kniei. Szkoda jedynie, że czytającemu „Kroniki“ staje zazwyczaj w pamięci wraz z widmem ubitego zwierza i widmo własnej młodości, psując rozkoszne wspomnienia młodocianych wypraw, uskarżaniem się na bóle reumatyczno-artretyczne.

# DZIKIE GOŁĘBIE.

**(Wspomnienie z młodości).**

Napisał
ABGAR SOŁTAN.

[Ciąg dalszy]

Szyderstwem Kondraszka zmrozony Poraj-Rosen zamilkł uroczyście i rzucał w naszą stronę nienawistne spojrzenia.

— Nieznośna małpa! — szepnął mi do ucha Kazik — ale poczekaj, ja mu urządzę konkury... Po kiego dyabła ta mumia się tu pcha?... Przecież nawet każdy kozak wie, że panna Jadwiga znosić go nie może.

— Co tam panicze szepczą pomiędzy sobą? spytała kuzynka Jadwiga widocznie dosłyszawszy wymówione swe imię.

Kondraszek zrobił dziwnie zabawną a przytem tajemniczą minę i nachylając się w stronę Jadwini, a zasłaniając usta dłonią od strony Anuli, szepnął:

— Układamy wielką niespodziankę dla panny Anny... Coś hipopotamicznie niebotycznego...

Tymczasem guwernantki dojadały z pośpiechem resztek ciast i owoców, a babunia Honorata, matka ciotki Pomianowej, a siostra rodzona naszej babki, dała znak do powstania. Zrobił się ruch i hałas, gwar trudny do opisania, wszyscy zaczęli głośno mówić, układając projekta zabawy po herbacie, odsuwano krzesła, brzęczały poruszone sztućce i talerze. Stara Angielka pakowała pozostały agrest do worka.

Wśród powstałego nagle ścisku posuwaliśmy się powoli ku naczelnej stronie stołu, ażeby dawnym obyczajem ucałować ręce starszych pań. Szło to powoli, bo gdy wszyscy powstali ze swych miejsc zrobiło się było strasznie rojno. Kazik trzymał się mnie blisko, a gdyśmy odbyli ceremonię „dziękowania“ szepnął, chwytając mnie za rękę:

— Chodź ze mną, popłyniemy łódką po stawie. Tu nie mamy co robić, oni zaczną się bawić zaraz w jakąś idiotyczną grę towarzyską, a ja tego nie znoszę... Nie masz wyobrażenia, co za przyjemność pływać po stawie.

Uczułem ogromną ochotę do tego pływania, ale miałem skrupuły, czy wypada mi tak od razu znikać z towarzystwa i oddawać się osobistym przyjemnościom. Przedewszystkiem bałem się i obu babek, które były ogromnie wymagające pod względem spełniania przepisów towarzyskich. Jednak perspektywa pływania po stawie i rozmowy z Kaziem, który mnie coraz bardziej rozciekawiał, sprawiły, żem poszedł za jego namową. Cichaczem wykradliśmy się do suteren. Kazik przeprowadził mnie przez cały szereg wąskich, krytych kurytarzy, w ciągu tej wędrówki po ciemnych zaułkach spotkaliśmy kilka dziewcząt garderobianych, a każdą z nich mój towarzysz bez cere-

monii uścisnął i pocałował wywołując tem przyciszone okrzyki udanego przestrachu. Wreszcie labirynt się skończył — ujrzeliśmy światło dzienne, przez wąskie, ciasne drzwi wydostaliśmy się do ogrodu.

Odetchnąłem, z rozkoszą wciągnąłem świeże powietrze do płuc i opuścił mnie zupełnie strach, którego doświadczałem podczas owych objawów czułości, jakimi obsypywał Kazik spotkane dziewczęta. Byłem chowany we wielkim rygorze i włosy mi ze strachu na głowie dębem stawały na samą myśl, coby powiedziała moja babka, gdyby się dowiedziała, że byłem świadkiem takich scen. Mimo to uczułem wielki rekpekt dla Kazika za jego odwagę i gdy znaleźliśmy się już na wolnem powietrzu zapytałem go:

— Przyznaj się... I ty się doprawdy nie boisz żadnej awantury z temi dziewczętami?

Nie odpowiedział mi zrazu na moje pytanie, tylko śmiał się, patrząc na mnie ironicznie. Zgniewało mnie to trochę, więc mówiłem doń dalej podrażnionym trochę już głosem.

— Nie masz się czego śmiać! a gdyby taka dziewczyna narobiła krzyku, gdyby stara Gołecka dowiedziała się i doniosła ciotce Pomianowej... To cobyś zrobił, ze wstydu chybabyś umarł, albo się utopił.

Kazik śmiał się ciągle, swym wesołym, swobodnym, nieopatrznym śmiechem. Śmiech ten brzmiący niczem niezmąconą wesołością, dźwięczy mi jeszcze dziś w uszach. Wreszcie śmiech ten rozpłynął się w dźwięcznych, harmonijnych kaskadach w powietrzu odbijając się wesołym echem od szarych murów zamku i skonał. W tejże chwili mój nowy przyjaciel chwycił mnie nagle za szyję, przycisnął serdecznie, pocałował w czoło i zawołał:

— Oh! ty święta, dziewicza niewinności i ty myślisz, że która z tych dziewcząt mogłaby się poskarżyć za to, że ją całuję... Jedna drugiej zazdrości.

— A przecież krzyczą — szepnąłem.

— Cha! cha! cha! Nieoceniony jesteś — śmiał się znowu mówiąc to — toś nie zauważył, że one wydają jakieś przyciszone odgłosy, mające oznaczać przestrach, jedynie dla konwenansu, ale tak cicho, że nikt o trzy kroki tegoby nie usłyszał.

— A jakby usłyszał?

To przypieranie go do muru najwidoczniej rozdrażniło go, bo twarz mu poczerwieniała i zawołał porywczo.

— Cicho bądź! Nie nudź mnie morałami, zostaw to babuniom i starym guwernantkom... Zresztą co pocznę, ja muszę całować, bez całowania żyć nie mogę... Jeżeliby nie było dziewcząt, tobym całował starą Angielkę, psy, koty a nawet kamienie... Rozumiesz!

I jakby na dowód prawdziwości swych słów, znowu schwycił mnie w swe objęcia i zaczął serdecznie całować. Nagle odskoczył odemnie i idąc pospiesznie naprzód wołał:

— Chodź! chodź prędzej! Tu jeszcze gotowi nas spostrzedz i zaciągną do „pastora“ lub „pierścionka“, a ja tego nie znoszę... Nie masz pojęcia, co to za rozkosz pływać po tym stawie.. Zapłyniemy pomiędzy szuwary, położymy się w łódce, słońce nam będzie w nos świecić, ryby będą się do nas z wody wyrzucać i kaczki wabić dziwnemi głosami. Chodź! chodź!

Dziedzicznie znać w nim tkwiło poetyczne usposobienie, bo oczy mu się śmiały, gdy to mówił, a na suchej twarzy rozlewał się wyraz bezgranicznego szczęścia na samo wspomnienie tego poetycznego *far niente*. Szedłem więc za nim po ciernistych uliczkach wspaniałego parku.

Ileż wspomnień mam z tego cudownego, zaczarowanego ogrodu! Ileż wspomnień z dzieciństwa i pierwszej młodości wiąże mnie z tym kilkudziesięciu morgowym kawałkiem ziemi, na którym przyroda i praca ludzka połączyły się, ażeby stworzyć dzieło wspaniałe. Wokoło zamku rozciągały się pagórki i jary podolskie obrosłe olbrzymiemi, staremi drzewami. Tu i ówdzie sterczały potężne odłamy zwietrzałych skał wapiennych, na które rzucała się uboga roślinność, zdobywając się zaledwie na karłowate drzewiny. Wprost przed zamkiem o jakie pięćset kroków poniżej roztaczało się olbrzymie zwierciadło powierzchni parkowego stawu, równe, ciche, niezmącone. Ogromna ta przestrzeń wodna odbijająca w swem dnie szare kontury baszt i wieżyc zamkowych, wyniosłe mury oranżeryi i cieplarni, sąsiednie drzewa i zieloność kląbów krzewowych, miała jakiś fantastyczny urok dla mnie, działała zawsze upajająco, magnetycznie, pogrążała mnie w dziwne jakie upojenie, prawie w rodzaj snu magnetycznego.

Któż teraz po tobie pływa, kto się w twych przeźroczach przegląda, ukochana wodo? Wielu to z tych, którzy cię kochali i twą pięknością się upajali nie ma już wśród żyjących, a inni, chociaż żywi, ale wtłoczeni w inne warunki istnienia, z ciężkiem westchnieniem ciągną taczkę życiową, a wspomnienie o tobie, o toni przecudna, łzy żalu za utraconą swobodą z ich oczu wyciska.

Myśli te dziś dopiero po latach dwudziestu kilku zjawiają się w mym umyśle; a swobodny i szczęśliwy z żalem myślę o tych krewnych i przyjaciołach mego dzieciństwa i młodości, którzy ulegli w walce życiowej, padli i zmuszeni byli ugiąć dumne karki w jarzmo zawisłej egzystencyi, zmienili się z panów w helotów. Wówczas daleki byłem od takich rozmyślań, pędziłem za Kaziem Kondratowiczem, kryjąc się w najciemniejsze uliczki, bo nęciła mnie ogromna, wioślarska wycieczka po modrej powierzchni stawu, a najmniejszej ochoty nie uczuwałem do nudnych gier towarzyskich, odbywających się pod argusowym nadzorem obu babuń.

Kazik szedł pospiesznie naprzód i świstał zawzięcie. Postępowałem za nim, ale nadążyć nie mogłem tak wielkie kroki robił swemi długiemi i cienkiemi nogami. Chwilami musiałem podbiegać, ażeby nie zostać zupełnie z tyłu. Ta wyższość fizyczna sprawiła, że mimowolnie poddałem się pod komendę mego nowego przyjaciela — imponował mi. Wyobrażałem sobie, że traperzy amerykańscy, ci dzicy myśliwcy, narażający dzień w dzień swe życie w niezliczonych przygodach muszą tak wyglądać jak Kazio, tak pospiesznie chodzić nie tracąc przy tem oddechu i tak brać życie z wesołej strony nie martwiąc się nigdy i niczem.

Po stromej ścieżynie zeszliśmy do znanej mi groty, położonej nad samym już brzegiem stawu, która była przez pół napełniona wodą i stanowiła przystań dla kilku gondol i czółenek, używanych do przejażdżek po stawie. Zgrzany i zasapany, gdy się znalazłem nagle w chłodnej i wilgotnej atmosferze tej groty zakaszlałem dosyć silnie i równocześnie zawstydziłem się bardzo tym objawem mej niższości wobec Kazia. On uśmiechnął się lekceważąco i szepnął pszez zęby:

— Zasapałeś się i kaszlesz jak panna Polstorff, nauczycielka mowy Goetego, najnudniejsza z tutejszych guwernantek... Ale chodź tu, pomóż mi odsunąć tę wspaniałą gondolę, która zdaje się być chyba na to, żeby nią obwozić biskupa w pontyfikalnych szatach...

Pospieszyłem wykonać jego rozkaz. On zrzędził dalej:

— Zawsze mi tę moją łódkę zapchają w sam koniec... No masz tu sznur, ciągnij go ku sobie i idź brzegiem do otwartej wody, a ja przepcham moją łódkę, pomiędzy te stare groty.

Wskoczył do łodzi i z niezwykłą zręcznością przeprowadził ją pomiędzy kilku większymi statkami, nie stuknąwszy nią nawet ani razu. Ciągnąłem powierzony mi sznur z olbrzymim wysiłkiem i pracując jak murzyn na plantacji, rad byłem ogromnie, że spełniam jego rozkazy.

Za chwilę wypchaliśmy łódkę z groty i zakołysała się wesoło na czystej przestrzeni wodnej.

Kondratowicz stojąc na rozstawionych szeroko nogach po środku łodzi, z wiosłem w ręku i z miną zdobywcy świata, wydawał mi się w owej chwili jakimś mitycznym Kunigasem normandzkim, wyruszającym na zdobycie nowych krajów. Głosem też godnym takiego dzikiego wodza zawołał na mnie:

— Bierz wiosło i siadaj! Nie ma co czasu tracić. Przepłyniemy lewą stronę, zakryci od zamku jaworowym klombem, a jak się raz do trzcin dostaniemy, to już nas nikt, nawet i góry nie zobaczą.

Nie mówiąc słowa, spełniłem jego rozkaz. Uwielbienie moje dla tego dziwnego chłopaka rosło z każdą chwilą. Nie śmiałem nawet dotknąć wody mem wiosłem, patrzyłem tylko, jak kawał ciężkiego, płasko ostruganego drewna błyskał w jego dłoni, jak ostrze pałasza w ręku doskonałego szermierza. Łódź pruła wodę z szaloną gwałtownością, pędziła przed siebie jak strzała, a po za nią widniała biała smuga spienionej wody. Wioślarz upajał się swym kunsztem, nie rzucił nawet okiem na mnie, ani na otaczające przedmioty, ale wzrok miał utkwiony w jeden punkt. Widocznie musiało tam być wejście do labiryntu przesmyków i kanałów, znajdujących się w tej stronie górnego stawu, która była gęsto trzcinami, szuwarem i sitowiem zarośnięta.

W ciągu kilku zaledwie minut przebyliśmy szeroką przestrzeń czystej powierzchni wody i znaleźliśmy się tuż obok wysokiej ściany, utworzonej przez bujnie rosnącą trzcinę. Kondratowicz zwolnił szybkość pędu i zwolna, rozważnie, skierował się we wąski otwór, ukryty zupełnie dla niewprawnego oka. Nagle otoczył nas inny świat. Skryci wśród wyniosłego lasu trzcinowego przed wzrokiem ludzkim, uczuliśmy obaj niezwykłą jakąś swobodę; zdawało się nam, żeśmy się znaleźli nagle wśród puszczy nieprzebytej o setki mil od ludzi.

Towarzysz mój podniósł wiosło w górę, łódź stanęła w miejscu. Wówczas przemówił on do mnie pierwsze słowo od chwili, gdy wziął wiosło do ręki; przemówił krótko:

— A co?

— Lecz w tych dwu zgłoskach potrafił zamknąć to, na coby inny inny człowiek musiał użyć kilkaset słów. W wykrzykniku tym dźwięczała rozkosz, odczuwana przez niego, duma, spowodowana jego biegłością, ciekawość, czy go podziwiam i czy dla mnie ta szalona żegluga była taką samą przyjemnością, jak dla niego.

Odpowiedziałem mu jednem słowem:

— Dobrze!

I zrozumieliśmy się wybornie.

Łódź wpłynęła powoli na małą przestrzeń wolną od trzcin, tam Kazik wbił wiosło w niebardzo oddalone od nas dno stawu, w ten sposób, że przeszło ono przez kółko znajdujące się w tyle łodzi... Statek stanął na kotwicy. Wówczas on, z niedbałością ludzi dzikich, prawdziwych dzieci przyrody, rzucił się na dno łodzi u mych stóp i zawołał:

— To mi rozkosz! kto mi tu potrafi co zrobić? Chybaby trzciny zapalił, ale teraz zielone i mokre, palićby się nie chciały.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

# NAJLEPSZY STRZELEC.

*Moi kochani, czyli też wiecie,*
*Kto jest najlepszym strzelcem na świecie,*
*Co nie wie, co to chybiony cel?*
*Może to Hubert, lub Wilhelm Tell?*
*Nie!... to ktoś inny, bracie kochany,*
*Wszystkim myśliwym — niestety — znany.*

*Konserwatysta to zagorzały:*
*Miast odtylcówki — kołczan i strzały;*
*Choć ski i bicykl nie znane mu,*
*Jest w jednej chwili to tam to tu,*
*A kogo strzałą swoją przebije,*
*Ten cherlać będzie, dopóki żyje.*

*I mnie on trafił w życia zaraniu.*
*Poznałem dziewczę — na polowaniu,*
*Co bez litości wyśmiało mnie.*
*Śmiertelnie ranny więc życie swe*
*Pędzę czekając trąby anioła,*
*Kiedy mnie wreszcie „na zbór“ powoła!*

*Edmund Walter*

# KORESPONDENCYE.

## Z powiatu bobrujskiego w gubernii mińskiej.

[Trzebież lasów. — Znikanie grubego zwierza. — Niefortunne łowy. — Polowanie na niedźwiedzie.

Główny zarobek ludu wiejskiego u nas stanowi robota przy wyrębie lasów. Lud wiejski z bliższych i dalszych okolic tysiącami garnie się z toporem w ręku do trzebieży dawnych puszcz naszych. Wszędzie słychać uderzenia toporu żydowskiego, odwieczne dęby i sosny walą się, zmieniając w następstwie do niepoznania charakter całej okolicy. Obywatele ziemscy przeważnie też ratują swoją sytuacyę materyalną trzebieżą lasów. Co prawda to znów sprzedają lasy i ci, których żadna konieczność nie zmusza do tego, jedynie kusi ich ładny grosz. Że nie jeden z ziemian dał się skusić żydom, nie dziwimy się całkiem. Bardzo wielu z nas, jeśli nie ogół cały niemal, do niedawna jeszcze nie miał najmniejszego pojęcia, co do wartości rzeczywistej posiadanych lasów Gdyby też nie współzawodnictwo wśród kupców leśnych, ma się rozumieć, nie jeden z nas popełniłby gruby błąd przy sprzedaży, jak to się praktykowało jeszcze bardzo niedawno. Kupcy leśni, ponieważ w ostatnich paru latach porobili świetne interesa na naszym budulcu, żądni nowych zdobyczy, współubiegają się do tego stopnia, że za las, który ceniono przed dwoma laty na 15,000, dziś zapłacono 120,000 rs. Wiele wypadków tego rodzaju moglibyśmy zacytować, w następstwie czego naraz znalazło się sporo ludzi dostatnich, a nawet bogatych, gdy dotąd sami nie byli świadomi tego. Jeżeli ta gorączka leśna potrwa w dalszym ciągu lat kilka jeszcze, niewątpliwie sławne puszcze nasze będą należały do tradycyi.

Gdy ogromne obszary lasów zostaną wytrzebione, ku czemu dążymy w przyspieszonem tempie, znikną też sławne nasze łowy na grubego zwierza. Dotąd niedźwiedź i łoś są nader pospolitymi mieszkańcami borów naszych. Są jeszcze okolice, zwłaszcza w lasach skarbowych, a tych w powiecie bobrujskim jest dotąd 110,000 dziesiatyn, gdzie łosiów można napotkać stada całe w pewnych porach roku. W prywatnych dobrach jest też sporo bujnego zwierza, to też polowania na niedźwiedzia w czasie zimy są u nas tak pospolite, jak u was — na zająca.

Niedarmo jednak ojcowie nasi powiadali: „zgotuj sobie łoże idąc na niedźwiedzia“. Smutne wypadki podczas polowania na niedźwiedzie nie należą do rzadkości, a niedawno i u nas także niefortunne łowy miały miejsce W majątku Budkowszczyzna p. Kotowicza w powiecie bobrujskim pokazał się niedźwiedź, na którego postanowiono urządzić obławę Strzelców i to niezbyt celnych zebrało się zaledwie czterech; reszta orszaku myśliwych składała się z włościan, którzy niedźwiedzia z legowiska wypłoszyć mieli. Gdy niedźwiedź ukazał się, a była to potężna sztuka, ważąca, jak się później okazało, przeszło 15 pudów (pud. = 40 funtów), pierwszy z myśliiwych p. S. pozwoliwszy mu się zbliżyć na kroków czterdzieści, wystrzelił i ranił tylko zwierzę, które rozjuszone, stanąwszy na tylnych łapach, rzuciło się na myśliwego, obaliło go na ziemię i zaczęło mu skórę zdzierać z głowy, przyczem zgruchatało mu i lewą rękę. Drugi z myśliwych, sam właśnie p. Kotowicz, widząc tę straszną scenę, wystrzelił także, ale i tym razem kula raniła tylko niedźwiedzia. Zwierzę porzuciwszy wtedy ofiarę pierwszą, dopędziło w krótce drugiego uciekającego już strzelca i obaliwszy go, również poraniło mu strasznie bok i nogę

Nie dość na tem. Spostrzegłszy w oddali jeszcze jednego myśliwego, łowczego, niedźwiedź pomimo kuli, która go znowu zraniła, dopędził i trzecią ofiarę. Ta jednak stosunkowo ucierpiała najmniej, bo zwierzę skutkiem znacznego upływu krwi z ran odniesionych, wkrótce runęło na ziemię.

Tak więc łowy na niedźwiedzie skończyły się smutno, bo spotkać się z takim potworem, gdy jest ranny, a podniesie się na łapach i weźmie myśliwego w swe uściski, to nie są żarty! Pierwszy strzelec prawdopodobnie przypłaci to życiem. W najlepszym razie ręka amputowaną być musi, oskalpowana przytem głowa przedstawia straszną ranę.

Drugi myśliwy przez czas długi nie będzie mógł opuścić łóżka.

Księżna Hohenlohe, małżonka niemieckiego kanclerza przybywa w nasze okolice co roku do dóbr powitgeszteinowskich, na polowanie na niedźwiedzie. Dobra te sprzedane zostały z tem zastrzeżeniem, że polowanie na niedźwiedzie w nich należy do księżnej Hohenlohe. Łowy odbywają się zwykle w końcu lutego gdy już nie ma okiści, powietrze staje się łagodniejsze nieco i są wszelkie szanse pomyślnego polowania. W roku zeszłym księżna, wraz z zaproszonymi gośćmi, ubiła 7 sztuk. W roku bieżącym łowy rozpoczęły się 25-go lutego. Przyjmował w nich udział starszy syn księżnej, ks. Schönburg Polowanie to było ciekawe, nie tylko ze względu na uczestniczkę niebezpiecznej bądź co bądź wyprawy na misia. Księżna jestto dama lat około 70 ciu, wysokiego wzrostu, nieco szczupła; ściągła twarz jej nosi wyraz energii. Od najmłodszych lat namiętnie lubiła wszelkiego rodzaju polowania, czy to na ptaki, czy na zwierza choć największe upodobanie miała do łowów na grubą zwierzynę. Strzela równie spokojnie do koźla, jak i do króla poleskiej puszczy — niedźwiedzia. W roku bieżącym towarzyszyło księżnej 11 tu leśniczych. Polowano z obławą. Księżna zabiła dwie duże sztuki: jedna — 14 pudów wagi, mająca 8 lat, druga nieco mniejsza. Ks. Schönburg zabił dwa niedźwiedzie mniejsze. Jednego z nich zastrzeliła ks. Hohenlohe, która oprócz tego zabiła jeszcze jednego niedużego niedźwiedzia. Tym sposobem wogóle padło 5 sztuk niedźwiedzi.

---

## Z powiatu sokalskiego.

(Towarzystwo myśliwskie kniei bełzkiej. — Stan zwierzyny w lasach bełzkich — Zabawny wypadek z kozłem. — Stan drzewostanów w pow. sokalskim. — Wójt myśliwy.)

Towarzystwo myśliwskie kniei bełzkiej pod przewodnictwem p. Aleksandra Hulimki z Mycowa ukończyło w roku bieżącym dwunastolecie swego istnienia.

Następne dwunastolecie zapowiada się świetnie, gdyż jest zamiar wydzierżawienia okolicznych lasów i pól o ile to tylko będzie możliwem, a wówczas polowania trwać będą po kilka dni z rzędu, należąc do najlepszej organizowanych w tej części kraju

Towarzystwo to wydzierżawiło przed dwunastu laty knieję bełzką wyłącznie prawie dla polowań na dziki.

W owych czasach tak knieja bełzka, jako też okoli-

czne lasy zapełnione były stadami czarnej zwierzyny i często spotykać można było stada liczące po 50 i 60 sztuk. To też na polowaniach duplety nie należały do rzadkości. Z biegiem czasu i wraz z szalonymi korczunkami w okolicznych lasach, które poprzerywały tajnie leśne, ogołociły z drzew wielkie powierzchnie i nadały inny wygląd całej okolicy — stada czarnej zwierzyny, lubiącej ciszę i spokój puszczy leśnej, stopniowo zmniejszały się i prawdopodobnie za lat niewiele należeć będą do historyi.

Natomiast stan płowej zwierzyny nieustannie z każdym rokiem znacznie się polepszał — pomimo, że naokoło ciągle grasują zgraje rozmaitej kategoryi strzelców, którzy wyszłą na pole zwierzynę natychmiast bez pardonu ubijają, mając zapewnioną bezkarność protekcyą najbliższych sąsiadów.

Wskutek tego znaczna ilość wyhodowanej w kniei bełzkiej zwierzyny dostaje się prawem kaduka najbliższym sąsiadom lub ich adherentom, od których żadnego wywzajemnienia spodziewać się nie można z powodu zupełnego braku zwierzyny na ich terytoryach.

W takich stosunkach w pewnej miejscowości zdarzył się zabawny wypadek. Myśliwy, należący do kategoryi wyznającej zasadę „co na placu, to nieprzyjaciel“ — obrał miejsce dogodne na zasiadkę w pobliżu kniei spodziewając się, że lada chwila pojawi się stadko sarn, z którego wybierze upragnioną zdobycz. Niestety. Godziny upływały, sen sklejał powieki i zmorzył nareszcie czujnego myśliwca. Nagle ze snu budzą go silne, a bolesne uderzenia. Zrywa się na równe nogi. O zgrozo! Srebrnowłosy kozioł, beknąwszy, oddala się poważnymi skokami dumny z wywartej zemsty na zagorzałym tępicielu sarniej rodziny. — Zapóźno było na pochwycenie strzelby, ale dosyć wcześnie na rozcieranie potężnych sińców.

Stan zwierzostanów w powiecie sokalskim w wielu miejscowościach jak Byszów, Tartaków, Mycców jest bardzo dobry, nie wspominając o lasach ordynacyi poturzyckiej, gdzie oprócz licznej zwierzyny stale utrzymują się dziki, w bardzo znacznej liczbie. Są jednak miejscowości, w których pomimo znacznych obszarów leśnych i doskonałości położenia — prawie nie ma zwierzyny, gdyż wszystko, co się tylko pojawi, natychmiast obsaczone i ubite zostaje.

W jednej z takich miejscowości znalazł się chętny do zaprowadzenia racyonalnego gospodarstwa łowieckiego i nie szczędząc kosztów wydzierżawił polowanie.

W czasie ponowy udał się do wydzierżawionej kniei, aby obeznać się z nią. Wszędzie głucha cisza i nieposzlakowana białość śniegu, na którym żaden trop się nie znaczy. Idąc znalazł się w pobliżu granicy lasów ordynacyi poturzyckiej i tam ujrzał ubitą sarnę, powieszoną na sosence. Huk strzału zwrócił jego kroki w inną stronę, gdzie znowu był świadkiem wieszania ubitej sarny. Sam to pan wójt gminy polował i znaczył ślady swego pochodu jak czerwonoskóry Indyanin w lasach północnej Ameryki.

*—Alf.—*

---

Szepetówka 10. lutego.

(Rezultat polowania w lasach szepetowieckich).

W lasach szepetowieckich polowano w bieżącym roku w dniach 5, 6, 8, 9 i 10 lutego, a więc przez 5 dni. W polowaniu wzięli udział: ks. Antoni Radziwiłł, ks. Roman Sanguszko, ks. Maciej Radziwiłł, ks. ks. Stanisław, Zdzisław i Adam Lubomirscy, hr. August Potocki, hr. Maksymilian Mielżyński, hr. Jan Grudziński hr. hr. August, Tomasz i Floryan Zamoyscy, dyrektor szkoły sztuk pięknych w Krakowie p. J. Fałat i gospodarz hr. Józef Potocki. Przez tych pięć dni ubito: 87 dzików: (6 odyńców, 14 wycinków, 18 loch, 4 przelatki, 45 warchlaków), 77 rogaczy, 5 zajęcy, 3 lisy i 1 jarząbka. Razem 173 sztuk. Strzałów padło 518, a więc co trzeci strzał był celny i kładł trupem zwierzynę.

Ks. ordynat Mikołaj Radziwiłł zabił 4 dziki i 9 zajęcy, razem 13 sztuk; ks. Roman Sanguszko 1 zająca; ks. Maciej Radziwiłł 9 dzików, 2 rogacze i 1 zająca, razem 12 sztuk; ks. Stanisław Lubomirski 5 dzików, 3 rogacze, 1 lisa, razem 9 sztuk; ks. Zdzisław Lubomirski 1 dzika, 2 rogacze, razem 3 sztuki; hr. August Potocki 7 dzików, 14 rogaczy, 2 zające, razem 23 sztuk; hr. M. Mielżyński 7 dzików, 4 rogacze, 1 lisa, razem 12 sztuk; hr. J. Grudziński 3 dziki, 5 rogaczy, razem 8 sztuk; hr. August Zamoyski 9 dzików, 6 rogaczy, 1 lisa, razem 16 sztuk; hr. Tomasz Zamoyski 15 dzików, 10 rogaczy razem 25 sztuk; hr. Floryan Zamoyski 8 dzików, 6 rogaczy, 1 jarząbka, razem 15 sztuk; dyrektor Fałat 3 dziki, 1 rogacza, razem 4 sztuki; hr. Józef Potocki 7 dzików, 3 rogacze, 1 zająca, razem 11 sztuk. Największe szczęście sprzyjało hr. Tomaszowi Zamoyskiemu i hr. Augustowi Potockiemu. Najmniej ubili dyrektor Fałat i ks. Roman Sanguszko.

---

Błudniki, w pow. rzeszowskim, 12. lutego.

(Sprostowanie).

W numerze 12 Łowca z 30. Grudnia 1896 r. w korespondencyi „Z polowań“, podpisanej literami *P. L.* znajduje się ciężki i niesprawiedliwy zarzut, uczyniony służbie leśnej w Błudnikach, a mianowicie, iż odznacza się ona bezprzykładną bezczelnością kłusowniczą. Autor, szafujący tak dosadnemi orzeczeniami, konstatuje, iż był świadkiem jak leśniczy dorohowski raportował p. Kozickiemu, że w nocy przed polowaniem w Dorohowie ubili błudniccy leśni dzika w dorohowskim lesie i wciągnęli go do swego lasu, (co autor miał jakoby sposobność sam skonstatować na śniegu), a za drugim postrzelonym łazili po wszystkich sekcyach.

Otóż leśniczy dorohowski zaraz po polowaniu tem, z polecenia swego służbodawcy, przybył na skargę do właściciela błudnickiego majątku i w obec mnie sam przyznał, że ów dzik nie w lesie dorohowskim, ale w błudnickim był postrzelony, a tylko padł zaraz za granicą w dorohowskim lesie, zkąd też go zabrano. Sprawdzonem też zostało, że na 2 dni przed polowaniem w Dorohowie praktykant lasowy w Błudnikach p. Zawadzki strzelił w dzień do dzika w błudnickim lesie, a dzik ten z przestrzelonym krzyżem padłszy na granicy lasów błudnickich i dorohowskich powlókł się 17 kroków po za granicę błudnicką i padł w lesie dorohowskim, skąd go też zabrano. Ten sam praktykant w dniu polowania w Dorohowie znajdował się z dwoma nieuzbrojonymi leśnymi błudnickimi przy granicy i strzelił do wygonionego zająca z dorohowskiego lasu, którego zabił. Wcale zaś tak on, jak leśni, żadnej sarny w dniu tym nie widzieli, a tem bardziej do niej nie strzelali.

Ów ślad zaś tropionego rannego dzika w dorohowskim lesie, jak dochodzenie z polecenia właściciela błudnickiego majątku wytoczone przeze mnie stwierdziło, pochodził od butów w berlacze odzianego błudnickiego leśnego Michała Brizego, który z ciekawości, bez strzelby, bo jej wcale nie posiada, tropiąc farbującego dzika w lesie błudnickim, w zapale zaszedł aż za granicę w las dorohowski. Cała więc tak nazwana bezprzykładna bezczelność kłusownicza służby

leśnej błudnickiej polegała na niedoświadczeniu młodego praktykanta leśnego, który zaniedbał zawiadomić straż lasową dorohowską, iż zabitego przez siebie dzika w błudnickim lesie podjął o 17 kroków już za swą granicą i że zapałem myśliwskim wiedziony, korzystając z obławy dorohowskiej, stanął na granicy i zabił wygnanego jednego zająca. Nie mniej jednak i za to przekroczenie został on surowo upomniany przez właściciela błudnickiego majątku.

*J. T.*

---

### Bielsko na Szląsku austryackim.

(Słów kilka o strzale śrutem).

Na wielu polowaniach, w których brałem udział zeszłego sezonu łowieckiego, poruszano sprawę jak należy strzelać na zwierzynę w pełnym biegu będącą, czy brać przed nią czy też nie. Różne były zapatrywania.

Jeden mierzy po słuchach, drugi bierze dwa metry przed zająca, trzeci jedzie lufami wraz z zającem, czwarty wali wprost w niego, a każdy uważa swój sposób za najlepszy. Wszyscy myśliwi mieli lankastrówki. Z tego powodu chciałbym ogłosić moje w 57-letniej praktyce myśliwskiej zebrane doświadczenia, a ponieważ sprawa dotąd nigdzie nie była poruszoną, więc wartałoby tę kwestyę jakiemi pewnemi doświadczeniami poprzeć i rozstrzygnąć.

Zacząłem polować ze skałkówką, a z taką bronią w rękach trzeba było brać przed zwierza (na kszyka strzelaliśmy wypuściwszy go z pierwszych kominków); przy kapslówce już mniej się brało przed zwierza, przy systemie Lefaucheux jeszcze mniej, a przy systemie Lancastra oraz przy iglicówkach, stało się to zbytecznem.

Ja strzelam od lat 38 z iglicówki i lankastrówki, nie biorąc nigdy przed zwierza, ale muszę dodać, że nie zamykam lewego oka i strzelam prawie nie mierząc; w chwili gdy zwierza zobaczę, wprost się tylko prędko składając, strzelam. Ten sposób strzelania wymaga wiele wprawy w składaniu się; to też często wyjmuję strzelbę ze szafy i składam się na jakiś stały punkt z zamkniętemi oczyma, kontrolując później czy dobrze się złożyłem. Następnie dobrze jest także przez czas polowań używać jednej i tej samej strzelby i tego samego ubrania. Mojem zdaniem odgrywają przy strzale następujące rzeczy ważną rolę.

1. System broni, a raczej szybszy lub wolniejszy zapał prochu.

2. Odległość Myśliwy nie powinien dalej jak na 35 metrów strzelać, (wyjąwszy drapieżne zwierzęta). Zając przebiega w $^{1}/_{10}$ sekundy metr drogi, śrut w tym samym czasie 35 m., a ponieważ zając jest około 70—75 ctm. długi, a kąt czyli szerokość krycia strzału śrutem, wynosi od 50—60 ctm. więc rachunek wykaże, że nie należy przed zająca mierzyć, gdyż śrut nie w tym kierunku padnie jak zamierzono, gdy się ciągnie z zającem, lecz według zasad relatywnego ruchu musi uderzyć w bocznym kierunku poruszającej się lufy.

3. Że tłuszczone, twarde, nalepiane, filcowe przybitki w porównaniu z innemi przybitkami, większy śrut w porównaniu z drobniejszym, jak nie mniej dobrze wstrząśnięty i silnie zakręcony śrut o wiele większą szybkość posiadają, niż naboje w inny sposób uskutecznione, jest rzeczą przez liczne próby udowodnioną.

4. Tak samo ostrzejszy i bardziej gęsty jest strzał przy okrągłym i gładkim śrucie; zalety te można zbadać puszczając śrut po pochyłym stole.

5 Ważnym czynnikiem są także lekkie spusty u strzelby. Podczas, gdy moje spusty przy obciążeniu 200 gramów wypuszczają sprężynę, przy innych strzelbach trzeba do tego 3 klg., co jest nieco za wiele dla palca i bywa przyczyną zerwanych strzałów.

6. Od kilku lat, kazałem sobie na osadzie strzelby przymocować wielki guzik drewniany, za który przy strzelaniu trzymam lewą ręką. Przy złożeniu się jestem w jednej chwili do strzału gotowy.

7. Przybitki na proch lekko tylko przytykam, aby nie spóźnić spalenia się prochu i używam naboi Selliera z małym kapiszonem i ostrzejszą masą zapalną, bo łuski o wielkich kapslach lubią często zawodzić.

8. Graniastemu i szorstkiemu prochowi, który się zapala, należy się pierwszeństwo przed okrągłym i wygładzonym. Na koniec załączam, ponieważ nie każdy może lub nie ma sposobności do robienia prób, kilka liczb i zestawień z moich strzałów.

*a. Różne ilości prochu.*

Kaliber 16, lufa cylindrowa, 35 m. odległości, śrut Imperial Nr. 4, równe miary prochu i śrutu

4 gramy prochu przebijają 230 kartek gazetowych i dają 19 ziarn w kółku 40 centimetrowem;

$4^{1}/_{2}$ gramy prochu przebijają 240 kartek gazetowych i dają 17 ziarn w kółku 40 centimetrowem;

5 gramów prochu przebija 300 kartek gazetowych i daje 13 ziarn w kółku 49 centimetrowem.

Wynika więc z tego, że za dużo prochu, pomniejsza siłę uderzenia śrutu, zapewne dlatego, że pojedyncze, więcej rozrzucone ziarna śrutu, mają większy opór powietrza do pokonania Moje szrapnele, które śrut w kupie trzymając, wyrzucają go dopiero na 10 15 m od wylotu, dają dlatego najlepsze rezultaty co do siły uderzenia, dając równocześnie i najgęściejsze strzały.

*b. Śrut różnej grubości.*

Kaliber 16, $4^{1}/_{2}$ gr. prochu, 35 m. odległości, równe miary prochu i śrutu

| | | | | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| Śrut miękki, | lufa | cylindrowa, | śrut | Nr. | 4 | przebija | 140 | kartek | gazetowych. |
| Śrut Imperial | „ | „ | „ | „ | 4 | „ | 190 | „ | „ |
| dto | „ | chocke-bore | „ | „ | 4 | „ | 249 | „ | „ |
| dto ze szrapnelem, | lufa | cylin. | śrut | Nr | 4 | | 270 | „ | „ |
| dto bez szrapnela | | „ | „ | „ | 0 | | 289 | „ | „ |
| „ | „ | „ | „ | „ | 2 | | 240 | „ | „ |
| „ | „ | „ | „ | „ | 4 | | 220 | „ | „ |
| „ | „ | „ | „ | „ | 6 | | 200 | „ | „ |
| „ | „ | „ | „ | „ | 8 | | 175 | „ | „ |
| „ | „ | „ | „ | „ | 10 | | 140 | „ | „ |
| „ | „ | „ | „ | „ | 12 | | 90 | „ | „ |
| „ | „ | „ | „ | „ | 14 | | 73 | „ | „ |
| „ | „ | „ | „ | „ | 16 | | 56 | „ | „ |
| „ | „ | „ | „ | „ | 18 | | 31 | „ | „ |
| „ | „ | „ | „ | „ | 20 | | 6 | „ | „ |

Te same próby z kalibrem 12 dają te same rezultaty co do siły uderzenia. Zauważyłem także że nie wszystkie śruty równie głęboko się wbijają i że nie każdy strzał i nie każda strzelba równie silny strzał daje. — *Rudolf Nerlich*, fabryka towarów ołowianych i amunicyi, pierwsza plantacya i piekarnia karmy dla zwierzyny w Bielsku.

---

### Lwów 20. lutego.

[Polowanie w Reklińcu.]

Strzelbo kochana moja! Ty jesteś jak zdrowie.
Ile Cię trzeba cenić, ten się tylko dowie,
Kto tak jak ja przechodził przez Tantala męki
Nie mogąc Ciebie przez rok cały wziąć do ręki.
Różne się na to, różne, złożyły przyczyny,
Lecz mej, jak mamę kocham, nie było w tem winy

Święty Hubercie, wszystkich myśliwców patronie,
Ty jeden dobrze wiesz, co się w mem działo łonie,
Ty jeden pojmiesz moją uciechę, wzruszenie,
Kiedy po rocznym poście przyszło zaproszenie
Na łowy, gdzie się wilk i dzik zwykle strzela.
Ile w mej piersi było radości, wesela,
Niktby nie wierzył! Zresztą cały świat po temu,
Że nikt nigdy nie wierzy na nim — myśliwemu,
Jak nie wierzono w Wilnie ubogiej kobiecie,
Która stojąc na świętej Ostrej-bramy szczycie,
Widziała jako Dejów, moskiewski jenerał,
Wchodząc z pułkiem kozaków już bramę otwierał,
I jak jeden mieszczanin, zwany Czarnobacki
Zabił Dejewa i zniósł cały pułk kozacki.

W wierzchołku trzech powiatów, u Rosyi przedmurza
Nad bystrym Żełdca biegiem, leży wioska duża,
Rekliniec z przysiołkami Dębem i Strzemieniem.
Lasy ją okalają w koło swem ramieniem,
Ciągnąc się wąskim pasem niedaleko Buga,
Co się wśród łąk jak srebrno-biała wije smuga.

Tam to po dzień dzisiejszy, nad brzegiem ruczaju,
Na pagórku niewielkim, prawie tuż na kraju
Wsi, stoi dwór szlachecki żółto malowany —
Świecą się już z daleka jego żółte ściany.
Dom mieszkalny nie wielki, lecz za to tak miły,
Gościnny, że tysiące w nimby się zmieściły.
Na lewo jest dom drugi, obszerniejszy może.
Na prawo wielkie gumno, obfite we zboże,
A z tyłu znowu wielki budynek się kryje,
Gdzie się sporządza napój, który ludzkość pije:
Gorzelnia, z której cudny zapach bije wódki.

O! boski trunku, ty co bieg ten życia krótki
Osładzasz i dodajesz do niego otuchy!...
Jeśli gardło wyschnięte, jeśli język suchy,
Nie ma lepszego leku, jak — kwarta siwuchy!...

Mógłbym dalej puścić wodze memu pegazowi, ale widzę jak szanowna Redakcya się krzywi na takie przepisywanie *mutatis mutandis* z „Pana Tadeusza“... Wolę więc resztę dopowiedzieć prozą.

Dnia 30. stycznia br. polowaliśmy w Reklińcu, majętności p. Mieczysława Lewandowskiego, w pow. żółkiewskim. Dzień był bardzo piękny, nawet, powiedzieć można, zanadto piękny, wskutek czego zając po większej części siedział w polu, jak tego dowodziły liczne tropy, z lasu prowadzące na pole. Polowanie szło nadzwyczaj gładko, jakkolwiek nieraz trzeba było większe przestrzenie przejeżdżać, a sanny dobrej nie było. Mimo tego wzięto jedenaście miotów bardzo wielkich. Strzelb było 16. Do śniadania szło wszystko doskonale, potem jednak myśliwi byli tak jakoś znużeni, że padały wprawdzie strzały, ale nie zwierzyna... Ale trudno... po takiem śniadaniu można na chwilę zapomnieć, że głównym celem polowania jest — ubijanie zwierzyny.

Ogółem padło 20 zajęcy, 2 kozły i 1 kogut cietrzew, ściągnięty bardzo pięknym strzałem ze stadka przez p. Hulimkę z Chłopiatyna. Jeden kozioł zabił się sam, uderzywszy się piersiami o dyszel od sanek, stojących na boku, wilk zaś uszedł postrzelony, farbując, w Sieleckie lasy. Dziki wyszły przed polowaniem w lasy kamioneckie.

Kto zna stosunki tamtejsze, temu rezultat polowania musi się wydać bardzo ładnym. Pełno kłusowników i to po większej części mogących ujść bezkarnie, gdyż mających swe chaty i grunta w środku lasów, przytem wilki, włóczące się ustawicznie od Bugu, nie przyczyniają się chyba do podniesienia stanu zwierzyny. Trzeba więc prowadzić ustawiczną walkę z jednymi i drugimi — walkę bardzo trudną. To też wielką jest zasługą syna właściciela p. Romana, że nie szczędząc kosztów i zachodów, podjął się jej i prowadzi dotąd wytrwale. Zwierzynie urządzono nadto wszędzie tryzuby z pokarmem, dla dzików, które lubią się wałęsać porzucono groch, aby je zatrzymać, słowem zrobiono wszystko, co można. Na uwagę zasługuje wytępienie lisów tak, że podczas polowania ani jednego nie widziano.

Po polowaniu ochocza zabawa przeplatana śpiewami i muzyką, przeciągnęła się do późnej nocy, a w niedzielę (31. stycznia) rano opuścili myśliwi gościnny Rekliniec, unosząc jak najmilsze wspomnienia żegnani obiecującem: „Do widzenia!“

*Edmund Walter.*

---

Tomaszów w marcu 1897.

[Zwierzyniec carski w Spale]

Lasy spalskie w Królestwie polskiem, dawna własność królów polskich, zostają w administracyi Księstwa łowickiego i obejmują około 60000 morgów obszaru łącznie z przestrzeniami, które po zabraniu tych dóbr przez rząd rosyjski, nabyte zostały w celach myśliwskich od prywatnych posiadaczy. Przestrzeń ta obejmuje dwa leśnictwa: lubocheńskie i radzickie. Cała administracya podzieloną jest na dwie części: łowiecką i gospodarczą; pierwszą zarządza łowczy, mający do pomocy 8-miu strzelców, drugą zaś dwóch nadleśnych przy pomocy 9 ciu podleśnych, 2 strażników objazdowych i około 80 gajowych.

Pierwotnie car Aleksander II-gi przeznaczył w roku 1873 pałac w Skierniewicach na dożywotnią rezydencyę księciu Barjatyńskiemu z prawem polowania w leśnictwach: skierniewickiem, lubocheńskiem i radzickiem, jednak od r. 1879 lasy te przeszły w administracyę Księstwa łowickiego, z głównym administratorem margrabią Wielopolskim na czele.

W chwili objęcia przez zarząd Księstwa, zwierzostan w lasach spalskich był bardzo mizerny, liczono bowiem zaledwie kilkadziesiąt jeleni, tyleż mniej więcej sarn i dzików; natomiast znajdowały się w dużej ilości lisy i wilki; ostatnie namnożyły się do tego stopnia, że w jednym naprzykład miocie zabito w 1879/80 roku 17 sztuk wilków. Zarząd Księstwa przystąpił z całą energią do tępienia szkodników, a wyznaczając wysokie nagrody za zabicie wilka i lisa, w krótkim bardzo czasie doszedł do tego, że wilki znikły zupełnie, lisy zaś trafiają się obecnie tylko te, które z lasów prywatnych przychodzą.

Niemniej dodatnim czynnikiem dla prędszego rozmnożenia jeleni był zastosowany środek wyłapywania dzików i osadzania ich w specyalnie do tego celu ogrodzonym zwierzyńcu (200 morgów), gdyż jak wykazało doświadczenie, dziki bardzo chętnie pożerają młode jelonki i sarny.

Jednocześnie z zastosowaniem wyżej wymienionych środków, rozpoczęto systematyczne zadawanie karmy, rozpoczynające się od 1 listopada, a trwające do 1-go kwietnia każdego roku. Dzienna racya wynosi 4 funty paszy na sarnę i 8 funtów na jelenia lub dzika. Jako pasza służy prze-

ważnie w połowie koniczyna czerwona, w połowie rośliny okopowe w postaci: marchwi, buraków i kartofli.

Z pierwszym jednak brzaskiem wiosny, zwierzyna otrzymuje także owies w snopkach, służący głównie dla wzmocnienia organizmu.

I oto po kilkunastu latach umiejętnej hodowli zwierzyny, administracya Księstwa Łowickiego doszła do wprost imponujących rezultatów, przynoszących zaszczyt jej głównemu kierownikowi. Najwymowniejszemi jednak będą cyfry, które poniżej przytaczam. Według przeprowadzonych obliczeń okazało się w roku bieżącym:

4.041 jeleni
2.676 sarn
1.052 dzików.

Ponieważ podczas lata zwierzyna nie dostaje postronnie żadnej dodatkowej paszy, administracya przedsięwzięła środki, ażeby tak wielka ilość zwierzyny nie cierpiała głodu z powodu braku pożywienia i dla tego wykonano na znacznych przestrzeniach sztuczne osuszenie bagien i moczarów, które dzisiaj wielkie ilości dobrej trawy wydają. Co do polowań, to odbywają się one tylko jesienią i to na grubą zwierzynę, to jest w czasie bokowania jeleni, we wrześniu. Poluje się na podjazd i na podchód, ku czemu specyalne drogi i ścieżki tak są urządzone, że gdziekolwiek w lesie jeleń zabeczy, tam wszędzie podjechać i podejść go można. Odbywają się także polowania z naganką, lecz już z mniejszem powodzeniem, a to dla tego, że nieodpowiednia pora dla tego rodzaju polowań nie sprzyja.

Począwszy od r. 1896 administracya zaczęła sprzedawać żywą zwierzynę, a pierwszym jej nabywcą był cesarz Wilhelm, któremu wysłano do Berlina partyę dzików.

W przeszłym zaś miesiącu (lutym) sprzedano kilku magnatom do Prus około stu sztuk łani Cena jednej łani z klatką oznaczona została, przy odbiorze większej partyi, na rs. 30, z odstawą do Tomaszowa. *H. W.*

# SPRAWOZDANIA ŁOWIECKIE.

## Z Galicyi.

W Wieczorkach, majątku p. Bronisława Langa, w pow. żółkiewskim. polowano dnia 15 lutego w 19 strzelb i zabito: 9 kozłów, 9 zajęcy, 2 lisy i 1 cietrzewia. Królem polowania był kapitan strzelców p. Hauschka z Mostów wielkich, który ubił trzy kozły, 4 zające i 1 cietrzewia Następnego dnia zrobiono małą poprawkę w kilka strzelb i zabito 1 kozła, 7 zajęcy i 1 cietrzewia. Razem padło 40 sztuk zwierzyny. Knieja p. br. Langa w Wieczorkach należy bez kwestyi do najpierwszych w powiecie tak pod względem wzorowego jej prowadzenia, jakoteż pod względem ilości rozmaitego zwierza. (*R. L.*)

W Muszkatowcach i Turylczu, we wzorowo urządzonej kniei podolskiego klucza dóbr p. Albina Słoneckiego odbyło się polowanie w dniach: 25 i 26 stycznia br. W 18 strzelb ubito 9 kozłów, 85 zajęcy i 2 lisy. Dziki uszły nie strzelane. Wskutek nadzwyczaj silnej zawiei śnieżnej w pierwszym dniu polowania, utrudniającej rozpoznanie zwierza, pomknęło także bardzo wiele kozłów bez strzału. (*K. H.*)

W Jadownickim lesie, za Dunajcem, odbyło się polowanie u Jana br. Konopki dnia 28go stycznia i w 6 strzelb ubito 25 zajęcy, 3 lisy i 1 kuropatwę. Wszelkie zabiegi br. Konopki o podniesienie zwierzyny pełzną na niczem, gdyż właściciele sąsiednich majątków bardzo mało dbają o rozwój zwierzyny, a polepszenie w tym kierunku da się tylko wspólnemi siłami uzyskać.

Dnia 29 i 30 stycznia polowano w dobrach pana Mieczysława Stojowskiego. Pierwszego dnia w Dyamencie w 6 strzelb ubito 45 zajęcy, drugiego zaś dnia w Sikorzycach za Dunajcem w 4 strzelby ubito 17 zajęcy i 8 kuropatw.

Dnia 19 i 20 stycznia odbyło się polowanie w dobrach fundacyjnych rodziny Hallerów — Monowice i Dwory. W 12 strzelb ubito w polach 160 zajęcy i 7 kuropatw.

Dnia 5 stycznia polowano w Niwkach u Piotra Tretera i w 9 strzelb w polach padło 55 zajęcy i 1 kuropatwa.

Dnia 27go lutego odbyło się polowanie w Brniu u Jana br. Konopki na rogacze i bażanty; w 7 strzelb zabito 4 rogacze i 5 bażantów. Bardzo piękny stan sarn budził nadzieję. że więcej rogaczy na rozkładzie będzie — szczególnie dla tego, że gdy dojeżdżaliśmy do lasu — w polach widzieliśmy parę rudli sarn. Tymczasem prawdopodobnie dlatego, że deszcz, tuż przed polowaniem ustał padać, a wiatr otrząsał przemoczone drzewa, sarny wyniosły się w pola. Dziki chów bażantów w tej knieci pięknie się rozwija. W tym roku zabito razem 16 kogutów, pomimo, iż regularnie na polowaniach całe stadka bażantów w dużych, leśnych miotach cofają się na pogonkę, więc te ubite należą do szczupłej garstki niedoświadczonych, które odważyły się przeciągnąć po nad linią strzelców. (*P. T.*)

W Kłyżu i Żelichowie, w dobrach hr. Maryana Łosia odbyło się polowanie w listopadzie z. r. W 7 strzelb ubito w polach 88 zajęcy i 5 kuropatw. Stanowiska były zbyt od siebie oddalone i wiele zajęcy przeszło bez strzału. Ten bardzo dobry rezultat polowania jest wymownym dowodem, jak korzystnie działa na rozwój zwierzyny gorliwa opieka, którą szanowny gospodarz otacza zwierzynę. Dwa lata temu zaledwie zdołano dwadzieścia kilka zajęcy mieć na rozkładzie.

## Z Królestwa polskiego.

W Fajerku, w pow. szczuczyńskim, u p. Gąsowskiego dnia 15 lutego br. w 7 strzelb ubito 53 zajęcy, 36 kuropatw, 2 jarząbki i wilka. Królem łowów był p. Stanisław Stankiewicz, który pomiędzy innemi zabił wilka.

W Młodzianowie w gub. łomżyńskiej, w majątku ks. Władysława Korybut Woronieckiego, odbyło się polowanie dnia 26 stycznia br., na którem w 6 strzelb ubito 82 zajęcy i 2 lisy.

W Giżycach, w powiecie sochaczewskim. u pp. Suskich. odbyło się polowanie dnia 13 stycznia. Padło 150 zajęcy, 1 lis i 1 kuropatwa. Z 20 myśliwych, biorących udział w tem polowaniu, najcelniejszymi strzałami wyróżnił się gospodarz p. Henryk Suski. Z kolei największą liczbę ubitej zwierzyny mieli pp. Bolechowski, Szpilewski, Neronowicz i Wojczyński.



# Z wiosennej orki.

I.

*Och ziemio moja, ziemio,*
*Ziemio, ty rodzicielko!*
*Och, w tobie byty drzemią,*
*Ziemio, jakżeś ty wielką!*
*Jam jednak twoim panem,*
*Drę cię, w kawały szarpię, —*
*Jak sercem szarpią harpje —*
*Byś żyznym stała łanem.*

II.

*Hej, ciągnijta wy szkapy!*
*Ot... razem ciągniem za nic,*
*By, wesela nie znając,*
*Do życia raz dojść granic...*
*I płat idzie za płatem,*
*Pot nasz się w ziemię leje...*
*Wio, szkapy!.. Krew niech cieknie!..*
*Lecz ta... zrodzi nadzieję!*

III.

*Nie śmiem od ziemi oderwać oczu,*
*Wszakże mi niebo zakryte,*
*Nie w jego blaskach, nie w tem [przezroczu*
*Myśli mych znajdę ja świtę.*
*Ta ziemia czarna siły me toczy*
*Bez serca i bez litości,*
*A gdy kres życia zwycięzko wkroczy,*
*Pożre i ciało i kości.*

IV.

*Szkapy! Ostro, co się zowie!*
*Niechaj płynie pług po roli!*
*Bo się w dzikiej roi głowie —*
*Coś, co z serca płynąc — boli..*

V.

*Ano dalej! — Choć ze łzą*
*Niech w pierś matki rżnie się [pług,*
*Niechaj ona spłaci krwią*
*Matki wielki, święty dług!*
*Gdyśmy pany jej i raby,*
*Toć nas żywić musi przecie,*
*Niech nas żywi, karmi — aby*
*Macierzyństwo na tym świecie*
*Raz się wreszcie stało prawem,*
*Choćby było krwawem, łzawem!.*

VI.

*Jazda szkapy, bez litości!*
*Ciągnij zimną, twardą stal!*
*Pierś-to miękka, nie ma kości,*
*Niech na chwilę zmilknie żal.*
*A gdy pług na kamień trafi,*
*Wyda iskrę, ogień wznieci —*
*To ten ogień pierś rozpali,*
*Matka nią nakarmi dzieci —*
*A z tej piersi, jak z śpichlerzy*
*Ziarno pod strop sunie nieb —*
*Matka pokarm swój wymierzy...*
*Nuże szkapy! Będzie chleb!*

VII.

*Dobrze, dobrze, me konięta!*
*Niech do końca przejdzie pług,*
*Niechaj ziemia zapamięta,*
*Że ma wydać wielki bróg,*
*Byśmy wszyscy: wielcy, mali —*
*Głodu, nędzy nie zaznali.*

VIII.

*Tak jest, ziemio karmicielko,*
*Ten, kto piersią karmi swą,*
*Ten oddaje istność wszelką —*
*I ztąd mleko daje z krwią:*
*Bo w tem mleku — pożywienie,*
*A w tej krwi jest — odkupienie...*

IX.

*Szkapy! Ostro, co się zowie!*
*Niechaj płynie pług po roli!*
*Bo się w dzikiej roi głowie —*
*Coś, co z serca płynąc — boli....*

X.

*Ha! Skończona już ta orka,*
*Wydobyty z ziemi pług...*
*Jasny, czysty — snać to nie był*
*Dla tej czarnej ziemi wróg!*

XI.

*Na tym pługu — niema plamy*
*Jakiejś takiej czarnej...*
*Hej, konięta, i ty pługu,*
*Trud nasz nie był marny!*
*A gdy zejdzie plon, co rzucim*
*Na matczyne rany,*
*Wnet się pola zazielenią,*
*Kwiatem zzłocą łany!*

XII.

*A gdy w końcu sypnie ziarno,*
*Stanie jeden, drugi stóg —*
*Znak, że matkę-ziemię czarną*
*Swą opieką chronił Bóg!...*

*Antoni Jastrzębiec.*

# Kronika.

**Wszystkich odbiorców i przyjaciół „Łowca“** prosimy gorąco o zasilanie nas korospodencyami z zakresu życia łowieckiego, stanu zwierzyny itd celem wytworzenia jaknajsilniejszego łącznika pomiędzy pismem naszem a ogółem łowców w kraju. Korespondencye nie potrzebują być koniecznie opracowane po literacku — wystarczy podanie samych faktów.

**Mianowania**. Członek wydziału Towarzystwa łowieckiego, radca lasowy p. Piotr Hirsch został mianowany starszym radcą lasowym.

**Towarzystwo myśliwskie** im. św. Huberta we Lwowie zakończyło zimowy sezon myśliwski wspólną biesiadą w sali hotelu Europejskiego. Pierwszy toast wzniósł prezes Tow. p. Godowski na cześć Dra J. Siemiradzkiego, a następnie toastowali p. Krogulski i inni. Przy tej sposobności omawiano także żywotne sprawy Towarzystwa, a mianowicie: gdzie i w jaki sposób należy szukać poparcia usiłowań Towarzystwa dążącego od lat 20 całemi siłami do urzeczywistnienia racyonalnej gospodarki łowieckiej w naszym kraju, oraz do wykorzenienia kłusownictwa. Z otuchą powitano wiadomość, że na walnem zgromadzeniu Tow. łowieckiego ster akcyi w tym kierunku objął w energiczne swe ręce ordynat Czarkowski-Golejewski.

**Rewizje przepisów łowieckich**. *Ruś* donosi, iż w rosyjskiem ministerjum rolnictwa w krótce rozpoczną się prace komisji wybranej do rewizji obowiązujących przepisów łowieckich.

**Wystawa rogów**. W Berlinie otwartą została trzecia niemiecka wystawa rogów, na której głównymi wystawcami są: dr. Oser, który wystawił obfite, liczne i ciekawe trofea swych łowów podczas wyprawy do Afryki południowo zachodniej, odbytej w roku zeszłym w sierpniu, wrześniu i październiku i małżonka niemieckiego kanclerza, księżna Hohenlohe, która wystawiła rogi własnoręcznie przez siebie zabitych w jej majątku na Litwie zwierząt. Wystawcą jest również król wirtemberski, wielu panujących książąt i td.

**Piękny połów**. W jeziorze tucholskiem, w Poznańskiem, pewien rybak z Mąkowarska, łowiąc ryby niewodem, wyciągnął z dwóch toni około pięćdziesiąt centnarów ryb, przeważnie sandaczy. Takiego połowu warto powinszować.

**„Weidmannsheil“** pismo łowieckie wychodzące w Celowcu, w Karyntji, zamieściło w 8. numerze z b. r. artykuł hr. Leopolda Starzeńskiego pt. „Eine Auerhahn Jagd“.

**Wyścigi reniferów**. W Ochocie na przedmieściu Petersburga odbyły się niezwykłe wyścigi, które zgromadziły tłumy ciekawych. Do zapasu stanęły renifery. Pierwszą nagrodę w sumie 100 rubli zdobyła czwórka reniferów, która dystans dwuwiorstowy przebyła w ciągu 4 minut i 50 sekund.

**Bociany w niebezpieczeństwie**. Z Wilna piszą do *Kraju*: Miły zwiastun wiosny, bocian, którego lud wiejski otacza czcią, lecąc w tym roku na stare gniazda do osad litewskich, nie przeczuwa, że zamiast odwiecznej gościnności, czeka go u nas wyrok zagłady. Tak uchwaliła sekcya grodzieńska carskiego Towarzystwa łowieckiego na ogólnem zgromadzeniu 28 lutego.

Na zgromadzeniu owem zapadło postanowienie rozszerzania wszelkiemi środkami przekonania o potrzebie tępienia bocianów jako niszczycieli ptactwa i zwierzyny. Jeżeli na poczciwego bociana spadła taka groźna proskrypcya, wartoby w równej mierze skazać na tępienie gorszych szkodników — kundle i koty zdziczałe, polujące całe lato na pisklęta i drobiazg leśny. W liczbie „drapieżnych“ zwierzat ptaków, za których tępienie sekcya grodzieńska łowiecka wyznaczyła nagrody w żetonach i sumach pieniężnych, o kotach i kundlach nie wspomniano wszakże. W szeregu innych uchwał, sekcya wyznaczyła nagrody dla żandarmów i policjantów za odbieranie broni myśliwskiej od osób, nie posiadających biletów myśliwskich, za chwytanie złodziejów zwierzyny i oprócz tego wyznaczyła 1.500 rs. na ochronę kniei myśliwskich w gubernjii grodzieńskiej. Wydano w dodatku przepisy, by na polowaniach zbiorowych myśliwi, dający pudła, płacili karę, w celu zmniejszenia zwierzyny, ginącej od postrzałów po ucieczce na pustkowia.

**O wpływie alkoholu** na zwierzęta ciekawe wiadomości zakomunikował jeden z fizyologów angielskich na ostatniem posiedzeniu towarzystwa: „Physiological Society.“ Uczony zadał sobie trud sprawdzenia, w jaki sposób wpływa alkohol na psy i koty. Wraz ze zwierzętami, poddawanemi wpływom alkoholu, chował zwierzęta w warunkach normalnych. Doświadczenia stwierdziły, iż alkohol wpływał na koty niezmiernie szkodliwie, usposabiał je do przeziębienia a zwłaszcza do katarów, które sprowadzały po pewnym czasie całkowite wyczerpanie. Oprócz tego alkohol powstrzymywał wzrost tak, iż niektóre koty ważyły o 30 do 40% mniej od kotów, rozwijających się normalnie. Nakoniec wpływ napojów spirytusowych przejawiał się w tem, że koty większą część dnia spędzały w stanie nieruchomym i nie polowały na myszy nawet wtedy, gdy na czas pewien zostawiono je bez pożywienia. Następowało całkowite przytępienie instynktu właściwego tym zwierzętom. Na psy alkohol wywiera znacznie mniejszy wpływ fizyologiczny. Wprawdzie uczony angielski unikał dawania alkoholu w większych dozach, lecz obserwował rozwój zmian fizyologicznych pod wpływem małych, lecz regularnie podawanych dawek alkoholu. Każdy pies po ukończeniu dziewięciu tygodni życia otrzymał codzień 35 do 38 centymetrów kubicznych alkoholu, a mimo to ich wzrost nie wiele różnił się od wzrostu psów, nie otrzymujących alkoholu. Psy traciły tylko wrodzoną im żywość i zdawały się cichsze i potulniejsze od psów, rosnących w warunkach normalnych.

**Przedruk z „Łowca“** *Gazeta polska*, wychodząca w Chicago w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki, przedrukowała z zeszłorocznych numerów *Łowca* artykuł pt. „Łowiectwo w Kanadzie“, a z pierwszego numeru b. r. wiersz Leopolda hr. Starzeńskiego pt. „Panie Kochanku“.

**Z obrad centralnego Wydziału.** W lutym odbył centralny Wydział Towarzystwa łowieckiego dwa posiedzenia. Na obu przewodniczył wiceprezes, ordynat Czarkowski-Golejewski Dnia 15. lutego zawiadomił wiceprezes, że otworzył w Banku kredytowym kredyt do wysokości 4.000 zł na pokrycie wydatków Towarzystwa, poczem oznajmił, że Wydział poruczył czynności sekretarza Towarzystwa p. Wiktorowi Jaremowiczowi, a prowadzenie rachunków p. Józefowi Domrazkowi. Na wniosek przewodniczącego uchwalono podziękować dyr ktorowi Władysławowi Zontakowi za dotychczasową długoletnią i rzetelną pracę i uprosić go, by i nadal aż do zupełnego uregolowania spraw Towarzystwa zajmował się odbieraniem wkładek od członków i odsyłaniem ich do Banku kredytowego. Na posiedzeniu dnia 17 lutego po obszernym referacie przewodniczącego uchwalił Wydział program *Łowca* oraz definitywne powierzenie redakcyi pp. Antoniemu Chołoniewskiemu i Edmundowi Kolbuszowskiemu, mianując zarazem stałą komisyę redakcyjną, do której weszli pp ordynat Czarkowski-Golejewski, radca Manthner, dyr. Zontak, dyr. Hirsch i mecenas dr. Henryk Szydłowski.

**Dzielny strzelec.** Jedną z największych nagród na Rivierze *prix d' Arllier* w popisach do strzelania gołębi wziął hr. Zamoyski, który miał na dziesięć strzałów, celnych strzałów dziesięć, nie chybił więc ani razu; drugą nagrodę za 9 celnych strzałów na 10, otrzymał hr. Montesquieu.

## Łacina łowiecka.

### Wilk, Dudek, Kos, Lis, Kozioł, Zając, Kanarek.

Nie będzie to bajka Lafontaine'a, lecz sprawozdanie z rozprawy sądowej, która niedawno toczyła się przed sądem w jednem z miasteczek galicyjskich. Woźny Wilk zaskarżył kupca Josla Kanarka o obrazę honoru za to, że go w sprzeczce nazwał głupim dudkiem. Wilkowi nie podobało się widocznie, że go Kanarek zaliczył do ptaków i obrażony zwrócił się do adwokata Kosa, w imieniu którego koncypient jego dr. Kozioł wniósł skargę o obrazę honoru. Rozprawa odbyła się przed sędzią dr. Lisem, a jako świadek miał być przesłuchany policyant miejski Zając. Sędziemu udało się pogodzić zwaśnione strony, Kanarek bowiem cofnął swego dudka, wskutek czego dr. Kozioł w imieniu Wilka odstąpił od skargi, a sędzia dr. Lis uwolnił od winy Kanarka. Zając nieprzesłuchany „pokicutał“ do domu. I tak historya naturalna była znów w porządku.

### Konkurencya.

*Handlarz zwierzyny* do niedzielnego strzelca: Już tak dawno pana nie widziałem. Widocznie strzelasz pan teraz zwierzynę u mego konkurenta.

## Między kotem a kundlem.



Że niedziela jest świętem, przyznać każdy to musi.
Więc się Marcin „bławatnik“ wybrał na łowy niedzielne.
A jako strzelec obwołan — tłukł bowiem w knajpie wciąż mopsy,
Szedł sobie z fuzyą przez pola, mijając płoty i rowy.
Aliści oto z za płota, co było jego nieszczęściem,
Wymknął się szparko kocurek, szarawo trochę malowan.
— „Szarak! jazda więc za nim, to chyba zając być musi!“
Fuzyę rzuciwszy za siebie, nogi jął szparko wyrzucać,
By kocura dogonić, soli na ogon mu wsypać,
Potem wrócić po fuzyę i kota zabić od razu.
Gdy tak Marcin „bławatnik“ przez płot się zwinnie gramoli,
Nagle wypada Bryś-kundel, co był za kotem w pogoni,
Tęgą zaś widząc przeszkodę, chce ją usunąć z swej drogi.
Chwyta zębami i szarpie, pan Marcin wrzeszczy co siły,
Chcąc się uwolnić od kundla, który mu zdobycz chciał zabrać.
Gdyby nie chłopiec od bydła, z pewnością Marcin „bławatnik“,
Byłby o funty dwa mięsa lżejszy powrócił do domu.
Tak niedzielnych więc, łowów koniec był bardzo bolesny.
Odtąd Marcin „bławatnik“, co monokl nosi na oku
Już nie chodzi na łowy, respekt wciąż mając przed kundlem.
Nie kładź między drzwi palca — tak brzmiało stare przysłowie
„Między kundla i kota nie wsadzaj nigdy przeszkody“
Takie przysłowie dziś głosi wszędzie pan Marcin „bławatnik“

*A. J.*

### Nieśmiertelni.

Niedzielny strzelec: Bój się pan Boga, panie leśniczy, czy te koty u was są nieśmiertelne? Tłukę już dziesiątego zająca, a każdy szelma umyka jak oparzony!!!

### Przestroga.

Leśniczy.... Zwracam uwagę pana, że to, co naprzód biegnie, to zając, a dopiero za nim leci pies... Dziś strzelać będziemy wyjątkowo tylko do zajęcy.

### Uspokoił go.

Leśniczy: Trzymaj się pan tylko blisko mnie, panie aptekarzu, a ja już, jeśliby szedł na pana dzik, wysadzę pana prędko na drzewo.

## Biuletyn wiosenny.

3. *marca*. Podczas pięknej pogody zaczęły wylatywać pszczoły z ulów.

4. *marca* Przyleciały pierwsze pliszki białe (*Metacilla alba*) — o 12 dni wcześniej, aniżeli w roku zeszłym. Nadleciały same zięby (*Fringilla coelebs*) — o 8 dni wcześniej, aniżeli w roku zeszłym. Trznadel (*Emberziza citrinela*) śpiewa na dobre.

5. *marca*. Pod wieczór pojawiły się roje komarów (*Tipula*)

7. *marca*. Skończył się przelot skowronków i tylko gdzie niegdzie widać pojedyncze osobniki. Na błotach zauważono pierwszego krzyka (*Gallinago gallinago*).

8. *marca*. Ciągną gęsi (*Anser sp?*).

10. *marca*. Zaczynają budzić się z zimowego snu żaby. (*Rana temporaria*) Kawka rozpoczyna okres miłosny. Dzięcioł (*Dendrocopus medius*) zaczyna bębnić po drzewach (początek pory miłosnej).

11. *marca*. Dzięciołek (*Dendrocopus minor*) zaczyna bębnić.

12 *marca*. Zauważano pierwsze cyranki (*Querquedula querquedula i Querquedula crecca*).

13. *marca*. Zaczęły tokować cietrzewie (*Tetrao tetrix*).

14. *marca*. Zauważano pierwsze stadko gołębia siniaka (*Columba oenas*).

15. *marca*. Pojawiły się potrzosy (*Emberiza schoeniclus*).

16. *marca*. Nadleciały pierwsze drozdy śpiewaki (*Turdus musicus*), zaczyna ciągnąć drozd rdzawoboki (*Turdus iliacus*). Na leszczynie (*Corylus avellana*) pojawiły się żeńskie kwiaty. Pączki liściowe bzu (*Syringa vulgaris*) bliskie pękania.

17. *marca*. Zaczyna silnie z gruntu puszczać *Hemerocallis*. Przybyło znacznie szpaków (*Surmus vulgaris*) i zięb (*Fringilla coelebs*, lecz samic tych ostatnich jeszcze nie widać.

18. *marca*. Pojawiły się motyle (*Rhodocera rhamni*) Gawrony (*Corvus fringilegus*) zaczęły wić gniazda.

19. *marca*. Zaczęły pękać pączki liściowe na *Ribes nigrum*. Pojawiły się świergotki (*Anthus pratensis*) Z Otwocka w Królestwie donoszą o pojawieniu się słonek (*Scolopax rusticola*).

20 21 *marca*. Pada śnieg z deszczem.

22. *marca*. W nocy silny przymrozek. Zaczęły nadlatywać kosy (*Merula merula*)

23. *marca*., Rano 3$^0$ poniżej 0. Lód trzyma się na sadzawkach cały dzień. O godz. 1$^1/_2$ popołudniu zaczyna padać silny śnieg. Nocą nadleciały pierwsze rudziki (*Erithacus rebecula*).

24 *marca*. W nocy przyleciały same zięby (*Fringilla coelebs*)

26. *marca*. Zaczęły pękać pączki liściowe czeremch (*Prunus padus*).

28. *marca*. Sikora (*Parus major*) rozbija się na pary.

29. *marca*. Zięba. (*Fringilla coelebs*) rozbija się na pary. Zaczynają pękać pączki-kwiatowe derenia (*Cornus mascula*). Wilcze łyko (*Daphne mesereum*) w pełnym kwiecie, a na niem uwija się mnóstwo pszczół.

30. *marca*. Od rana silny, chłodny wiher.

## Od Redakcyi.

*Prenumeratę na ŁOWCA oraz zaległe wkładki upraszamy przesyłać pod adresem: Galicyjskie Towarzystwo łowieckie we Lwowie pl. Halicki l. 14.*

*Wszelkie reklamacye, zapytania, oraz listy do redakcyi i administracyi ŁOWCA, należy przesyłać pod adresem redakcyi i administracyi ŁOWCA we Lwowie pl. Halicki l. 14.*

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redakcya „Łowca“: Lwów, pl. Halicki 14. Redaktor odpowiedzialny: **Edmund Kolbuszowski.**
Z drukarni „Dziennika Polskiego“ we Lwowie, ul. Sobieskiego 16. — pod zarządem Fr. Kattnera.